



Poezja

Teresa Czarna

Debiutowała w „Wersie” w listopadzie ub. roku. Przewodnicząca rzeszowskiego Klubu Młodych Twórców i tegoroczna maturzystka w Zespole Szkół Elektronicznych.

Proza

Daniel Romanik



Urodzony 16 kwietnia 1990 r. Student pierwszego roku filologii polskiej na Uniwersytecie Rzeszowskim. Debiutował w „Wersie” równo rok temu. Należy do Klubu Młodych Twórców stworzonym i działającym przy stowarzyszeniu Nasz Dom Rzeszów. Parokrotnie prezentował swą twórczość na spotkaniach tej grupy w klubie Zodiak.

Miłość

bez widowni
żaden aktor by nie istniał
jak poeta
bez wrażliwych oczu
bez miłości
hałaśliwej jak burza
która odbiera schronienie
i spokój
jesteśmy niczym
więcej
od sztucznych oddechów

a kiedy już przyjdzie
ciężkimi krokami
nagle
we wszystko możemy uwierzyć

i we wszystko możemy zwątpić
kiedy zimna
do szpiku kości
znajdzie sposób by uciec
w pusty korytarz

gdzie pomiędzy wspomnieniami
nic się nie może wydarzyć..

Świat

Książki nazwały go cierpieniem
po westchnieniach
po ludzkich przeżyciach

obwiniają go o milczenie
które powieki zamyka
po drugiej stronie
bez wyjaśnień

któs przestał wierzyć miłości
i zostawił pustą ławkę

z pretensją do świata
piszą poeci
że winien jest
pomarszczonego czoła

i tylko krzyki meblościanek
echem odbitym od ścian

a ON cóż winien
nie mając naszych imion

ręce ma inne niż złodziej
a uśmiech ufniejszy

GWIAZDY PRZEZNACZENIA

(fragment III cz. powieściowej sagi fantastycznej pt. *Bitwa*)

Na chwilę zamarło mi serce. Znalazłem się na skraju wielkiej przepaści. Od bezdennej otchłani dzieilił mnie zaledwie mały kroczek. Odwróciłem się i ujrzałem chochlika:

OTO PRÓBA ODWAGI

UKOŃCZ JĄ LUB PODDAJ SIĘ

– Nigdy się nie poddaję.

Chochlik zniknął, a ja usłyszałem nagle narastający huk. Przede mną, nad przepaścią, rozciągała się wielka pustynia. W oddali widziałem tumany kurzu powoli opadające na ziemię.

Armia.

Nie mogłem uwierzyć w to, co zobaczyłem. Zza tumanów kurzu wychyliła się nagle wielka armia złożona z różnego rodzaju potworów.

Płonący Legion... Legendarna armia krocząca przez światy niszcząc je doszczętnie, służąca samemu Chaosowi...

Co ja miałem robić? Nie miałem najmniejszej szansy, by ich pokonać.

Ale to próba odwagi, racja? Wystarczy, że się nie poddam, że stanę do walki. Prawda?

Skoncentrowałem się. Dookoła było mnóstwo piasku. A ja panałem nad żywiołem ziemi.

Skupiłem energię w sobie i rzuciłem zaklęcie. Kilka potworów zostało wciągniętych pod ziemię.

Ale ich są tysiące! Przecież nie pokonam ich wszystkich!

Co mam robić?

Nie poddam się!

Rzuciłem zaklęcia na oślep. Liczba potworów jednak malała zbyt powoli, a byli coraz bliżej. Coraz bliżej...

Nic mi nie zrobią! To tylko próba!

Nie mogą mi nic zrobić... Prawda...?

I wtedy zrozumiałem. To nie jest próba siły, tylko odwagi.

Spojrzałem za siebie. Przepaść. Odwróciłem się znów w stronę pustyni. Spróbowałem zrobić krok do przodu. Tak jak podejrzewałem. Stąd jest tylko jedna droga wyjścia. A ja się nie poddam.

– Nie poddam się!

Rzuciłem ręce, zamknąłem oczy i skoczyłem w przepaść. Po chwili poczułem chłód marmuru na mojej twarzy.

PRÓBY ZOSTAŁY UKOŃCZONE

ZOSTANIESZ NAGRODZONY

Proza

Jerzy Stefan Nawrocki

Urodzony we Lwowie w 1941 roku. Prozaik, publicysta. Debiutował na łamach „Żołnierza Polskiego” w roku 1972 opowiadaniem *Drzewa nie mogą odejść*. Autor ośmiu książek prozatorskich, popularnonaukowych i literackich. Książka *Cienie: ...ten tętent karych koni* otrzymała w 2008 roku nagrodę I stopnia miasta Rzeszowa w kategorii literatura. Laureat licznych nagród w konkursach ogólnopolskich, sejmowych, resortowych, publicznych, drukowany w ogólnopolskich almanachach wydawniczych. W rzeszowskim oddziale Związku Literatów Polskich pełni funkcję sekretarza.



PTAKI PRZYGDONE

(fragment powieści przygotowanej do druku)

Posłania. Daleko za horyzontem musiał tkwić wielki ład. Zanim jeszcze nazwali wyspy przy Thule imieniem Westmana, wiedział o tym ładzie jedynie dzięki wierze. Teraz więc płynęli ku niemu, a łatwiej było dzisiaj czynić to z Thule niżeli z Irlandii, z Eyre, skąd niegdyś ku Thule wyruszyli na ich pierwsze, zamorskie Celtów osiedlenie.

– Opuśćcie, najdzielniejsi, wasze osady i pozostawcie krewnym waszym i wspólnotom wasze zagrody obronne za częstokołami i zostawcie im do uprawy wasze wspólne trójpola ze zbożem chlebnym i zbożem piwnym, a weźcie zaś ze sobą na karegi kozy i owce, i bydła – powiedział im wówczas na pierwszą podróż.

Albowiem zdradził mi Bóg nasz, Bóg chrześcijaństwa, że wyspa za morzem istnieje i z wieka już o tym szeptano, a ziemia jest tam dobra i czeka na Pański Lud, lud celtycki, lud z Eyre. A poprowadzi nas do niej najlepszy nasz człowiek morza, Mąż Zachodni znający dzikie morskie bałwany i ich tajemnice z pradawnych celtyckich wieści, także i z własnych podróży. Kiedy przybiją zaś tam już karegi do brzegu i wysiądziecie, i zagospodarzycie się, i znajdziecie bezpieczne porty dla innych, karegi powrócą znów tutaj, aby dalej czynić wedle Bożej woli: szukać nowych ładów dla chwały Jego Imienia pośród wysp nie dojrzanych dotąd.

Klerykowie zaś z wami płynący stawiają tam świątynię ku chwale Boga, a sami zamieszkają w eremach, skąd w dni święte, w dni ważne będą wieść procesje ku zadowoleniu Bożemu, a dla waszego powodzenia, bo cieszy, Pan swoimi i ich pobożnymi pieśniami. On ci albowiem obdarzył istnieniem i życiem wszystko we świecie, a człowieka zaś wraz z rozumem najszczególniej, więc wy – dzieło i dzieci Boże – zwijcie się papami od Boga Ojca i Pana wiernymi Jego. Eremici zaś z eremów, klerykowie wszystko dokładnie zapiszą, aby dało ono świadectwo Prawdzie dla potomnych, gdy nas już Pan wezwie przed siebie.

I stało się, jak rzekł wtedy i wszelkie osiedla na wyspie Thule nazwano łatwo do rozpoznania, by nie błędziły karegi, ni przygodne drewniane statki handlowe Piktów, a południowe osiedle nazwali Eyrabakka.

Wiatr szarpał poły ciemnoburego, przewiązanego pasem i sięgającego do kostek, grubo tkanego płaszcza. Starał się wecisnąć pod kaptur wyprawny kocim futrem, ściągnięty pod szyją miękkimi rzemykami, ale oni, Celtowie dobrze już znali te morza. Wiedzieli, jak bronić się przed zimnymi wichrami. I oni, i Piktowie pływali po nich już od wieków, podobnie, jak poznali też słodycz gorącego słońca Iberii.

Na piersiach stojącego zwiślał na grubym łańcuchu złoty krzyż i tym tylko odróżniał się od pozostałych żeglarzy na osiemnastowiosłowej karedze, której konstrukcja obszyta była szczelnie grubymi skórami wołów, nasycenymi odporną na morską wodę tłustą, żywiczną masą. Pod płaszczem stojący miał na sobie gruby, skórzany kubrak.

Morze sfałowało mocno, fale szły krótkie a strone tak, że drewnianym statkom Piktów groziłoby przełamanie między ich grzbietami w połowie. Statkom drewnianym – tak. Ale nie elastyczniejszym, celtyckim karegom!

Znowu popłynęli wzdłuż kreski brzegu przed siebie i cieszyli się, pokąd Ian Łagodny z Yougibal, pływający już wcześniej za handlem aż do norymberskiego Corbilo, do galijskiego Burdisale z miedzią, cyną i wełną po to, by w zamian przywozić broń i narzędzia

z żelaza i brązu, który pływał nawet z Celtami aż na wybrzeże Iberii u stóp wysokich gór – póki Ian ostrzegawczo nie krzyknął:

– Przed nami morze na skałach ledwie po kolana! Sunie tu, sunie na nas, cofać się, cofać, bo prąd nas niesie ku temu jako wiatr słabe mewy...

I w pierwszej chwili wszyscy na każdym ze statków rzucili się ku wiosłom, a było na każdej karedze do szesnastu dwurzędowych wiosel wielkich i mocnych, zaś Ian dalej wołał:

– Kapitanie, prosz Świętobliwego, aby powstrzymał ruch owej wyspy...

A Łowca Węgorzy zakrzyknął, podobnie jak Ian:

– Ona płynie ku nam!

– Na wiosłach w tył!!! – ryknął. Jego głos zdawał się jednak rozplywać w przesyconym znowu wilgocią powietrzu.

Przetarł oczy, nie wierzył. Co widział, zdawało się majaczeniem, jak wtedy, gdy zachorował i leżał przez wiele dni nie wiedząc, co rzeczywistość. Pieniste pole na morzu jakby zmieniało kształt. Wysuwało macki ku statkom. I jeszcze coś dostrzegł wyraźnie: na skrajach pienistego plastra nie było ni śladu przyboju... Choć fale szły dosyć łagodne, na krawędziach tej dziwnej, ruchomej płaszczyny powinno być przecież choćby niewielkie spiętrzenie. Nie było go! Pienista płaskość jakby własnym ciężarem wduszała i wypychała wszystkie fale pod siebie: stłamszała ocean. Ale przecież nigdzie nie ma pływających, żywych, ciężkich skalistych wysp...

Aż naraz bystrooki Manannan Dunk, który wspiał się na maszt wrzasnął na całe gardło:

– To ryby, widzę ryby!!! Cała olbrzymia ławica... Płynie ku nam. W imię Boże, chwytajcie za sieci, Bóg zesłał połów swym dzieciom!

I strach zmienił się znów w radość. A zgiełk był przy tym straszliwy, albowiem stada mew i wielkich rybołówów krążyły na ową ławicę, pikując na nią tak licznie, jakoby kawały białawego lodu sypały się gęstym gradem z niebieskiego Bożego wiadra wprost w fale.

Był wieku IX początek, licząc od narodzin Chrystusa. Patrzyłem, jak statki Celtów przywożą na brzegi i do osad wyspy Thule, nazwanej potem Islandią coraz to nowe grupy uchodźców z Eyre, którzy wzorem Piktów pragnęli uniknąć normańskiej niewoli. Lecz oto wśród fal na wschodzie, nieco pod linią horyzontu coś oslepiająco rozbiły: raz, drugi, trzeci. Przez oszlifowany wzorem starożytnych Egipcjan kryształ górski ujrzałem, do czego nie nawykły jeszcze moje oczy: łodzie niskie, długie a wąskie, o złowieszczych wysokich galionach na dziobach, z których szczytów okrutne paszczyki drapieżne gryfy, obiecując zagładę napotkanemu życiu. Ich boki błyskały w słońcu ostro niby łuski luster lub zimna o gładką stal. Dopiero patrząc przez ów kryształ pojąłem, że nie są to łuski żyjących w odmętach gigantycznych węży morskich, lecz rzędy umocowanych u boków okrętów, wypolerowanych tarcz.

Nie wiem, jak to się stało, ale daleko za nimi widziałem równocześnie postrzępione, surowe, groźne skalistymi fiordami wybrzeże Norwegii. Rzędy długich wiosel pospiesznie, jakby krwi głodnej, nurzały się w zboczach fal i nie miałem wątpliwości, że – choć to niepojęte – już suną przez morze ku Thule okręty okrutnych Wikingów: morderców i rabusiów Europy.